

Z OGARY I CHARTY

W Borysowych Łozach znalazły się zwabione wilki. Pomimo dużych odległości dzielących myśliwych, lotem błyskawicy otrzymali oni przez konnych gońców zaproszenie od pana Proskury na polowanie, ze zbiórką w Adampolu. Myśliwi zjeżdżają. Późnym już wieczorem, kochany gospodarz chodzi od gościa do gościa, z zapalem opowiada o zapowiedzianym polowaniu, rozdziela stanowiska, informuje, że o świcie będzie pobudka.

Piękny jesienny ranek, trachę zamglony przed wschodem słońca. Muszę się przyznać, że nie mogłem spać całą noc, gdyż to było moje pierwsze polowanie na wilki, do tego w tak licznym gronie. Wsłuchiwałem się w każdy szmer, może to już trąbka... No i nareszcie zagrało kilku trębaczy naraz. W jednej chwili wszyscy się zerwali, byle się nie spóźnić. Prędkie śniadanie i znów trąbka do odjazdu. Ruszamy, każdy swoją czwórką, jedni za drugimi. Przeważnie sami powozimy końmi, bo też przy okazji każdy chce najlepiej zaprezentować swój zaprzęg.

Przy zbliżaniu się do celu, serce waliło mi jak młotem. Już zarysowuje się knieja Borysowych Łóz, na płaszczyźnie między Pasieczną a Ladytrami. I tu następuje ostrzeżenie p. Proskury, który daje znak ręką, żeby ustały wszelkie śmiechy i rozmowy, by zwolnić jazdę. Zbliżamy się do kniei, musi być cisza.

Dojeżdżamy do domku gajowego. Na dużej polanie stoją puste już wozy. Gończe, których było 60 sztuk, podprowadzono na miejsce, skąd mają być puszczone. Były łącznie cztery złaje ogarów i oczywiście każdy z właścicieli pragnął, by jego gończe najlepiej się popisały. Choć byłem jeszcze młodym myśliwym, ale szalenie pasjonowałem się i lubiłem polowanie z gończymi. Miałem już wtedy dziesięć ogarów, wypróbowanych, dobranych nie tylko zajadłością i odwagą, ale i głosami. Trochę się jednak emocjonowałem, jak się moje psiska spiszą. Rywałem moim był p. Leon Podhorski, starszy myśliwy, który swoje ogary wioził 150 wiorst, bo aż spod Humania.

Zaczyna się polowanie. Rozchodzimy się na stanowiska, przecinając w kilku miejscach knieję. Doszliśmy na miejsca — cisza, słychać tylko bicie własnego serca. Odzywa się trąbka, odpowiadają jej z czterech stron rogi konnych dojeżdżaczy, ubranych w skórzane hełmy i ubrania, chroniące ich od gałęzi. Padają strzały z pistoletów, słychać nawoływania dojeżdżaczy: Uhaa! Polowanie rozpoczęte.

OD REDAKCJI: Jest to fragment wspomnień myśliwskich Eligiusza Kumanowskiego — spisanych pro memoria dla wnuka, Bohdana Kutylowskiego, zmarłego przed paru miesiącami dzieńnika i myśliwego — które udostępnił naszej Redakcji kol. Roman Bratny. Publikujemy go ze względu na ciekawy opis obawy na wilki z gończymi oraz sugestywny opis polowania na zające z chartami. Rzecz dzieje się pod koniec XIX wieku na Ukrainie. Tytuł fragmentu od Redakcji.

Po chwili dochodzą pierwsze głosy ogarów i raptem bucha nie do opisania orkiestra psich głosów, cienkich, grubych, zajadłych. Wyczuwam, że są nie tylko na tropie, ale już widzą, już gonią zajadłe zwierza. Wilki na pewno ruszyły, każdy z nas wstrzymuje oddech, z bijącym sercem czeka. Zaczynają padać strzały, powtarzają się coraz częściej — to tu, to tam. Powstaje ogromny zgiełk, bo teraz do ujadania psów i huku strzałów dołącza się krzyk ludzi, stojących przy sieciach, które nie pozwalają wilkom wymknąć się na pole.

Gęsto padające strzały dają znać, że jest dużo zwierzyny. Ja stoję między p. Urbanem Boryszem, a p. Leonem Podhorskim. Wiem, że jako młodszy muszę ustępować pierwszeństwa strzałom starszym myśliwym. Chwile wyczekiwania wydają się godzinami.

Wtem widzę — pędzi z gęstwiny olbrzymi wilk, paszczę ma otwartą, tuż za nim dwa moje ogary: Turban i Śpiewak. Pada strzał p. Borysza, wilk koziółkuje martwy. Z drugiej strony padają jeden po drugim dwa strzały z drylinga p. Podhorskiego — jego wilk sunie dalej. Mam tylko chwilę do złożenia się, strzelam, wilk ugodzony moją kulą wali się na ziemię.

Jestem dumny i szczęśliwy. Wracamy prędko na stanowiska, konni dojeżdżacze zawracają psy

Rys. Antoni Uniechowski



i kierują z powrotem do kniei. Nie czekamy długo, pędzą dwa lisy, p. Podhorski dubletem kładzie oba. Gon, wrzawa przesuwa się to bliżej, to dalej, strzelanina słabnie.

Po paru godzinach pełnych takich emocji, trąbka daje znać, że polowanie skończone i zbiórka do wypoczynku. Następuje obliczenie ubitej zwierzyny, ciekawi jesteście wszyscy jaki będzie rezultat łowów.

Dymi rozpalone na dużej polanie ognisko, skwarczy się wspaniałe bigos na maderze. Poza tym czeka nas wiele innych przysmaków, zakąsek, fruktów, przywiezionych z Adampola przez panie. Wśród nich prym wiodły p. Maria Burkat i p. Le-ta Rudnicka z Czarnej.

Strzelcy układają pokot. Padło 7 wilków, 23 lisy, koziół i 160 zające. Zaczynają się toasty na cześć króla polowania, p. Proskury. Staruszek położył dwa wilki, siedem lisów, kozła i 9 zające. Rozradowany, uśmiechnięty, trzymając kielich wybornej starki, kłania się, dziękuje za zaszczyt, za miłe polowanie i nastrój.

Po przekąskach i odpoczynku, nasz gospodarz, dla urozaicenia dnia polowania, każe nam, młodym myśliwym, a było nas kilku, spróbować swoich sił w innej umiejętności. Podprowadzają nam nasze konie wierzchowe i mamy w powrotnej drodze do Adampola polować z chartami na zające, mamy się popróbować i rozegrać psie zawody.

P OLOWANIE z chartami jest zupełnie odmienne — to próba koni, jeźdźców i psów. Rozległe przestrzenie nadają mu specjalny urok. W tym dniu, na zakończenie polowania, miał to być dla nas, młodych, to jest dla mnie, p. Juriewicza i p. Mazarakięgo, wyścig i walka o pierwszeństwo naszych psów. Do tej walki stanęły: moja charcica Burda, rasy krymskiej, śliczna suka, Rozbój p. Mazarakięgo i Wilczur p. Juriewicza.

Jedziemy w jednej linii, jakby w szyku bojowym. Kto pierwszy zoczy zająca ukrywającego się pod miedzą, czy bruzdą woła: Hecoo! Hecoo! To zawołanie oznacza, że jest upatrzony zając. Wtedy wyprzedza nas na koniu myśliwy, który na długiej smyczy prowadzi charty. W tym wypadku był to jeden z naszych sędziów. Najechał na zająca i z krzykiem: Wyczhaa! Wyczhaa! ruszył go z kotliny. Dwaj sędziowie i my trzej pędzimy teraz pełnym galopem za psami i zającem. Charty wyciągają się w linię, moja Burda coraz silnie naciera na kota, po trochu dystansując konkurentów. Jednym susem daje zającowi pierwszy obrót, zawraca go, po chwili drugi obrót, zając ratuje się kominkiem, jeszcze walczy o życie, ale Burda dopada go pierwsza i chwytą. Pierwszy wyścig skończony.

Teraz chwila odpoczynku dla psów i koni, przytraczm mego zająca do siódła. Jedziemy dalej — nowy zahecowany zając. Następna gonitwa. Tym razem prym bierze pies p. Mazarakięgo, Rozbój.

I znów następne wiorsty gonitwy pełnym galopem, konie już w pianie, psy widocznie zmęczone. Mamy już cztery zające, ale w młodych rozpala się coraz bardziej chęć rywalizacji, rośnie emocja. Mamy już tylko kilka wiorst do Adampola, słońce kładzie się skośnymi promieniami, mgiełka srebrna opada na pola.

Wtem spod mego konia porywają się dwa zające, jakby umówione wystrzeliwiają szpryngla w górę i pędzą, każdy w przeciwnym kierunku. Zmęczone psy, które biegły już przy swoich właścicielach, zastęły na chwilę w bezruchu. Pierwsza Burda zerwała się i rozwścieczona, jak huragan rzuciła się w pogoń. Kochana, ambitna moja Burda, wiedziałem, że wstydzi mi nie zrobi, ufałem jej. Nadała gonitwie szalone tempo i w chwili, kiedy w obrotach, w pojedynkę dopadła ostatkiem sił zająca, przewróciła się wraz z nim i tak trwała chwilę, po czym wstała, z dumnym pyskiem podeszła do mnie i położyła się zmęczona i wyczerpana u moich nóg. Moja Burda była najlepsza i zwyciężyła rywala. Musiałem jednak posłać po bryczkę, by sukę zabrać i podwieźć, miała łapy poscierane od biegu i przez parę dni musiałem ją leczyć i oszczędzać.

Eligiusz Kumanowski